ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Marca. Ner 12. Roku 1854.

Kanwas-Town, czyli miasto drelichowe.

Australia, kraj utęsknienia i nadziei dla wielu przeszła dziś w pogardę w Anglii, i kto o niéj co mówi, nieprzepomni nigdy Kanwas-Town, czyli miasto płócienne. Czém jest właściwie owo Kanwas-Town, trudno wypowiedziéć. Że jest miastem, to pewna, że liczy więcéj niż 10.000 mieszkańca i to mu dodaje znaczenia; że zaś zbudowane jest z płótna, niepowinno by mu ubliżać zwłaszcza gdy jest tak mocne, tak osiadłe, i z pozoru tyle miastem w właściwém słowa znaczeniu, że owe namioty, z których się składa, zdają się być jakby w ziemię wrosłe, a ich mieszkańcy jakby żelaznemi więzy do nich przykuci.

Z początku namiot był tylko przechodowém, tymczasowém pomieszkaniem wychodźca. Wychodźcy, przybywszy w nadziei zdobycia złota, a nieznalazłszy pomieszczenia w Melbourn lub w inném mieście Australii, musieli rozbijać swe namioty w pobliżu. Kilka takich namiotów tworzyło obóz, który równie prędko znikał jak i powstawał. Nie były zatém trwałe, właściwe osady, podobnie jak niemi nie są i owe obozy, które bezpośrednio w blizkości kopalń powstają. Atoli wkrótce znalazła się klasa ludzi, którzy nigdy nie mogli przyjść do kopania złota, i którym przeto fizycznie było niepodobna opuścić swoich namiotów. Siła bowiem fizyczna, materyalna, jest jedyną, która w Australii znaczy i popłaca, klasa zaś ludzi, o któréj tu mowa, jest właśnie klasą ludzi umysłowo ukształconych, są-to tak zwani gentlemani, którzy w swém złotem oszołomieniu niepomni byli na to, iż nie posiadają nic prócz swéj głowy, najniepotrzebniejsze w Australii narzędzie, i że nie mają najmniejszego talentu robienia z swych rąk i nóg użytku. Złoto, które z sobą z Europy przynieśli, nie mogło wytrzymać spółzawodnictwa z bryłami złota kopanemi w Australii, a nie będąc zdolni do wydobywania ich z ziemi, musieli się napowrót schronić do swoich namiotów. Tak tedy namiot zamienił się zwolna na stałe pomieszkanie gentlemana, a obóz który w ten sposób powstał, stał się miastem, jedyném schronieniem ducha i cywilizacyi; miastem, w którém około 10.000 gentlemanów, ludzi należących do wyższych warstw społeczeństwa, z żonami i dziećmi, wiodą życie zowiące się w Anglii „starvation“, życie, w którém ni umrzeć,

ni żyć niepodobna, i w którém się żyje tylko ujmą najpotrzebniejszych rzeczy.

Kanwas-Town, owo miasto płócienne, liczące jak rzeczono, do 10.000 mieszkańców, roztoczyło się w blizkości Melbourna, a jedyną jego korzyścią jest to, iż się w niém mieszka zadarmo, to jest w swym własnym namiocie, a zatém bez płacenia czynszu za najem pomieszkania. Najęcie pomieszkania w Melbourn wynosi tygodniowo za jeden pokój dwa funty szterlingów, tymczasem w Kanwas-Town posiada się dom to jest namiot bez opłaty. Lecz gdyby zamiast owych 10.000 ukształconych gentlemanów znajdowało się tam tyleż nieukształconych żołnierzy, ludność taka składałaby się z rozmaitych stopni, a zatém z podwładnych i z zwierzchności, któraby czuwała nad tém, aby przynajmniéj porządek i czystość były zachowane. Ale w Kanwas-Town nie ma urzędu, nie ma zwierzchności. Kanwas-Town zamieszkują sami niepodlegli gentlemanowie, którzy nigdy nie mieli miotły w ręku, równie niezdolni do robienia kanałów jak i do kopania złota. Można sobie przeto wyobrazić, co za nieład i niechlujstwo w tym przybytku ducha i ukształcenia. Klasyczna niechlujność oryentalnego miasta i cała nędza, jaką tylko w odległych przedmieściach Londynu, zamieszkałych przez ubogich podupadłych Irlandczyków, jako wyród nowoczesnéj cywilizacyi napotkać można, zasiedliła się w tém mieście nowego świata, mieście płóciennėm, gdzie życie duchowe, wywołane z zawodu życia materyalnego, czynnego, wprawdzie jeszcze istnieje, lecz zarazem niszczeje i znika.

Szczególniéj też Anglicy, co to zawsze przywiązują do życia *„comfortable homme“* tak wielką wagę i w niém są rozmiłowani, zabarykadowali się w tém płóciennėm mieście z swemi wygórowanemi zwyczajami i obyczajami i odłączyli nazawsze od prostaczéj, złoto kopiącéj, kupczącéj ludności. Mieszkańcy Kanwas-Town ubiérają się dotąd jak gentlemany, ale też właśnie dlatego reszta mieszkańców unika ich jak zarazy, jako ludzi, których w nowym świecie do niczego użyć nie można. Kto tylko w Australii chce być bezpiecznym od rabunku i kradzieży, nie potrzebuje jak tylko przywdziać na siebie ubiór gentlemana, a może być pewien, że nigdy niepopadnie w podejźrzenie, nigdy uchodzić nie będzie za bogatego, szczęśliwego robotnika z kopalń kruszcu złotego. Kanwas-Town ma więc przed innemi miastami Australii to pierwszeństwo, że śród największego nieporządku i nieczystości, cieszyć się tu można bezpieczeństwem, jakiém tylko które miasto pochlubić się może; i gdy do koła w najokropniejszy sposób szerzą się mordy i rabunek, tutaj przeciwnie w mieście płóciennėm żyje się bezpiecznie śród wytwornych obyczajów i zwyczajów, lecz ma się rozumiéć tylko w znaczeniu abstrakcyjném, bo w rzeczywistości, stan fizyczny, tak zwany dobry byt, który w krajach ucywilizowanych jest nieodłącznym od wyższego duchowego życia i prawie jego jest podsta-

wą, tutaj w Kanwas-Town nie znanym jest zupełnie.

Wszystko, co tylko życie przyjemném, powabném i wygodném czyni, jakoto: fortepiana, książki, obrazy, znajdują się tu jeszcze w nieprzebranéj mnogości w tém mieście płóciennym; ale za to wyprzedano wszystko, co tylko tak zwaną realną mogło mieć wartość, a to aby tylko rzeczywiste życie opędzić; a tak owi gentlemani dlatego tylko są jeszcze w posiadaniu tych zbytkowych przedmiotów, że na nie w Australii nie znajdzie nabywcy. Cóż bowiem pocznie majtek, kamieniarz, lub skazany na wygnanie zbrodzień, a którzy tu już wszyscy podostatkiem uzbiérali złota, z fortepianami lub obrazami? Dajcie im za ich złoto napojów lub innych środków użycia, lecz któreby były zgodne z ich usposobieniem i dla nich przystępne, a takie rzeczy potrafią ocenić i za nie sowicie zapłacą; ale nikt tu nie raczy spojźrzéć na owe resztki dawnego przepychu i wspaniałości. Mieszkańcy też płóciennego miasta z największą gotowością wystawiają je codzień na sprzedaż, lecz nadaremnie. Łóżka, krzesła i tym podobne sprzęty, mają tutaj prędki odbyt, ale natomiast nic nie spieniężyć, co ducha kształci i umysł podnosi.

Że ziemia Australii nasycona i przepełniona jest złotem, to nie podlega żadnéj wątpliwości; że tu i ówdzie złoto to za najmniejszém poruszeniem ziemi wydobywa się na wierzch, to także stwierdzono; ale że po największéj części złoto to tylko śród wielkiéj pracy z głębi ziemi wydobytém być musi, o tém przekonano się już także, tak w Australii jakoteż i w Anglii. Ależ ziemia, co złoto rodzi, nie wydaje domów, łóżek i krzeseł; sprzęty te trzeba albo samemu robić, albo je też z dalekich stron, z trudniejszym jeszcze mozołem, przez bory, krzaki i szlaki bezdrożne sprowadzać na miejsca gdzie się kopalnie złota znajdują. Ci zaś, którzy się téj ciężkiéj i kosztownéj pracy podejmują, i wyrabianiem tych przedmiotów trudnią w kraju, gdzie materyał i praca ręczna tak są cennemi, żądają za tę usługę daleko większéj nagrody niż rzecz warta, bo zdaje im się, że zapiérają wrota szczęściu kiedy złota nie kopią, i sądzą że właśnie wówczas, kiedy zajęci byli hyblem lub przewozem, mogłoby się wydarzyć szczęście wykopania jakiéj sześćdziesiątfuntowéj bryły złota, jakichto wszyscy szukają; a czasem i znachodzą chociaż niekoniecznie tak wielkie.

I ztąd-to pochodzi, że wszyscy ci, którzy większe ciężary dźwigać zdołają, i szerokie barki i mocne ramiona mają, daleko wyższą płacę otrzymują niż ci, którym ich siły fizyczne ledwie do kopania lub mycia złota mogą wystarczyć. Lecz cóż poczną gentlemani z miasta płóciennego, którzy jak rzeczono, nie przynieśli z sobą nic prócz swéj głowy, co przynieśli ducha i uczucie wykształcone, ale ani barków ani ramion mocnych zdolnych do dźwigania ciężarów?

Aby więc w tym przybytku muz nie przyszło umierać z głodu, mieszkańcy płóciennego miasta ujźrzeli się wkońcu

*

zmuszeni uciec się do jakowegoś zarobku i zatrudnienia, któreby nie natężając zbytecznie sił fizycznych, zostawało zarazem w związku z dawnemi ich zwyczajami. Nic to przeto nie jest nie zwykłego, jeżli w Australii dawny jaki szambelan pełni obowiązki szatnego, a dawna Lady, szatnéj lub pokojowéj. Atoli i w tym względzie nowe okazało się nieszczęście; bo spanoszali robotnicy zbyt mało ufają siłom i zdolnościom gentlemanów. Biała, gładka ręka, ręka z któréj na piérwsze wejźrzenie widać że nigdy miotły nie miała i nie czyściła trzewików, źle się zaleca w Australii, i z największą wzgardą odepchniętą bywa. Do tego i żony tych szczęśliwych proletaryuszów niechętnie przyjmują w posługę damę, któréj mowa i zachowanie tak wielce różni się od ich wykształcenia. Wszystko, co nadobność, ukształcenie i wyższy obyczaj przypomina, nie należy do Australii. W kraju, gdzie właściciel gospody dziesięć funtów szterlingów codziennie zarabia, a żaden woźnica nie ruszy się z miejsca, dopóki złota na ręku nie ujźrzy, cóż począć z wdziękiem i nadobnością? Wdzięk, ukształcenie i wyższy obyczaj, te należą do miasta płóciennego, gdzie jak rzeczono, śród nieczynności butwieją. A cóż dopiéro rzec o uczniach z Oxfordu i Cambridge, z ich łaciną i greczyzną? — ci są całkiem zgubieni w kraju i społeczeństwie, w którém czysta angielska mowa, mowa wyższego towarzystwa i ukształconych stanów, nie jest już rozumianą.

Aby owym przesądom szerzącym się w Australii przeciw klasie ukształconych jakokolwiek zapobiedz, zajęło się tém chlubnie wyższe duchowieństwo; niéma kazania w którémby nie starano się szczęśliwym robotnikom dowieść, że i gentlemani są równie ludźmi jak i inni, że nie należy się ich usługi odpychać, i że to-jest obowiązkiem chrześciańskiéj ludzkości opiekować się ukształconymi, chociażby tak upadli, żeby się do najpospolitszych robót ręcznych musieli uciekać. Ale któż zważa w Australii na kazania. Szczęśliwy robotnik z kopalń złotych chce za swe złoto czegoś realnego; umysłowe zaś zdolności, ukształcenie, kunszta i umiejętność, są to w jego języku *non-sence*, niedorzecznością.

Nie jest-to ani trudném ani z zbyt wielkim połączone kosztem, z najodleglejszych stron Anglii dostać się aż na brzegi Australii. Trudność i koszta poczynają się dopiéro wtedy, gdy idzie o to, by osiąść w Australii lub z miejsca stałego pobytu dostać się do najbliższego miasta lub najbliższych kopalń złota. Tysiące mil przebytych z Anglii do Australii nie kosztują tyle, ile owych mil kilka z miejsca, gdzie okręt wylądował, aż tam gdzie wychodźca chce się osiedlić. A owi drążnicy, doróżkarze i woźnice, którzy rzeczy wychodźca z okrętu na ląd mają przenieść lub przewieźć, to są właśnie owi ludzie o szerokich barkach i silnych ramionach, którzy ofiarując swe usługi, chcą być wynagrodzeni za ową bryłę złota, jakąby może w owym czasie udało im się z ziemi wydostać. Gdyby każdy z przybywających zamiast mnogiego pakunku posiadał grzbiet olbrzymi i nie-

dźwiedzie łapy, gdyby był zdolen sam sobie swoje rzeczy zanieść lub zawlec aż do tak zwanych *Diggins*, to-jest osad w blizkości kopalń złota; wtedy mógłby szczęścia próbować. Choćby nie znalazł brył złota, znalazłby przynajmniéj złotego proszku podostatkiem, aby nim swe barki i ręce zatrudnić. Ale kto tu przybywa i chce zarazem wieść swe dawne europejskie życie, temu niepozostaje nic innego jak tylko udać się do Kanwas-Town, zatopić myśl w widoki osobliwszego miasta, i jeźli chce być szczęśliwym, niech zapomni co wiedział, co umiał i czém go przepoiła oświata nasza.

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Dokończenie.)

Scena 10.

Ulrych. *(sam) (po chwili).*

Odszedł — uciekł — znikł w ukryciu —
Coś mi się tak marzy — roi —
Jak gdyby mi raz już w życiu
Kto był uciekł z chatki moi;
Tak mi się pamięć zmięszała!
Nie, chatka ma, nie tu stała.

(do Matyldy).

Obudź-że się przecież raz!
Czyś słyszała krzyk boleści?
To nasz syn co wzywa nas! —
Nic nie słyszy, — a snu brzemię
Ołowiem ją ciśnie w ziemię.
Holm ją wprzódy zbudzić chciał.
Holm! — to imię jakby strzał
Przeraża mnie do rozpaczy!
Holm — uciekać — cóż to znaczy?
Hrabia Holm — i znów uciekać
Straszno mi — nietrzeba zwlekać;
Mój przyjaciel stare morze
Wprzódy nam dopomoże,
A czej-że nam się wydarzy
Spotkać łódkę i wioślarzy,
To przyjaźne nam Delfiny
Poniosą nas przez grzbiet siny
Wody, przez bałwany nagie! —
Chodź Matyldo, zbierz odwagę;
Zostać nam tu nie wypada,
Bo jak wróci Holm — to zdrada!
I arfę z sobą weźmiemy
A przy spiewie i jéj dźwięku
Mając ciebie luba w ręku
O, wesoło pojedziemy —
Chodź ma arfo, chodź na schody;
Delfiny wyłaźcie z wody.

(idzie z arfą na skałę i bierze kilka akordów).

Tony moje posłyszeli
I witają mnie z topieli,
Posłuchajcie przyjaciele —
Moją lubę wam oddaję,
Wam mogę zaufać śmiele;
Wieźcie nas, gdzie ojców kraje,
Do ojczyzny, do kochanéj,
Przez samego Boga danéj.

(rzuca gałązkę do wody).

Przypnijcie ten bluszcz do skroni,
Osłońcie nim wasze czoła.

(obraca się ku widowni).

Słyszycie jak z głębi toni:
Chodź tu do nas, do nas! woła,

(spokojniéj).

Poczekajcie, zaraz ruszę,
Lecz wprzód arfę dać wam muszę;

(rzuca arfę w morze zschodzi ze skały i mówi do Matyldy).

Niechcesz-że się zbudzić jeszcze?
O bądź spokojną w tym względzie,
Podróż nasza szybką będzie;
Przy ocknieniu cię popieszczę
I przycisnę cię do łona,
Boś ty moja droga żona.

(bierze ciało i niesie na skałę).

Chcę cię lekko podnieść z ziemi
Oddać w ręce towarzyszy,
Popłyniemy w drogę z niemi.
Ani słowa! nic nie słyszy!
Spij więc słodkim snem ujęta.

(spostrzega Holma, który wraca).

Ha! wszakże to on nadchodzi!
Nuż Delfiny w imię Boga.
Nuż ruszajcie się z głębizny!
Nic mi więcéj nie przeszkodzi;
Choć się fala sroży, burzy,
Nic mnie nie wstrzyma w podróży,
Idź spiewaku do ojczyzny!

(rzuca się z trupem w morze).

Scena 11.

Dorota i Walter. *(wbiegają na scenę). za nimi Hrabia i Kasper.*

Walter.

Spieszcie się moi ojcowie
I niechaj mi któren powie,
Gdzie są, gdzie się podzieli?

Hrabia.

Tutaj na tém miejscu stał,
Tu mi rękę zgody dał;
Lecz gdzież jest?

Walter.

Więc znów zniknęli
Ojciec i matka kochana,
O rozpaczy niesłychana!

Kasper.

Wszak widziałem doskonale
Jak stał tu na owéj skale.

Dorota.

Na nią się w moment wyskoczy.

Hrabia.

Cóż, nie widzą nic twe oczy?

Kasper.

Co ja widzę wielki Boże!
Doroto, spojźrzyj na morze,
Bo zda mi się iż nad fale
Jakaś się unosi szata,
Jak się już z nią bałwan brata,
Jakby z pewnym swoim łupem.

Dorota.

Ach to on, z swéj żony trupem,
Z niemi razem arfa płynie.

Hrabia. *(zakrywa twarz jakby rażony piorunem pada).*

Kasper.

O mój bracie!

Dorota.

W falach ginie!

Kasper.

Mój Ulrychu!

Walter. *(biegnie ku morzu)*

Lub mu życie
Uratuję lub z nim w grobie
Wraz polegnę.

Kasper.

Moje dziécię,
Na nic to się nie zda tobie
Wszak go fala już zalała!
Jego arfa zaniemiała.

Walter.

Ojcze! matko!

Kasper.

Bracie miły!
Żegnam cię, żegnam na wieki,
Bo to przedział zbyt daleki
Z tego życia do mogiły.

Walter.

O ja biédny! nieszczęśliwy!

Kasper. *(do Waltera).*

Ukój twój żal sprawiedliwy,

(wskazuje na Hrabiego).

A temu nieś pocieszenie.

Walter.

Ojcze jedyny mi w świecie,
Czemuż tak dzikie spojźrzenie?

Hrabia. *(zrywa się z ziemi i przerywa mu).*

Nie rozdzieraj mego serca,
Nazwawszy się moje dziécię,
Wszakże tam rodzice twoi,
A tu tylko ich morderca,
Co na sąd czekając stoi!

Walter.

Ja twym sędzią — o daremnie!
I dlatego to odemnie
Tak się odwracasz z pośpiechem?

Hrabia.

Miłość ku mnie tobie grzechem;
Tu przy twych rodziców grobie,
Któré-m pomordował tobie,
Czekam wyroku w téj sprawie!

Kasper.

Milcz — wszakże niebo łaskawie
Tego oto tu młodziana
Widocznie ci poleciło;
Takaż zaszła w tobie zmiana?
Tak się w twém czuciu zciemniło,
Iż w tym strasznym nieszczęść stoku
Które Bóg zsyła na ciebie,
Ty nie poznajesz wyroku
Odwiecznego ojca w niebie?!

Walter.

Ojcze!

Hrabia. *(ściska go w ramiona).*

O Walterze, tyś mym synem!

Dorota.

Bóg przebaczył mu tym czynem!

Hrabia.

Wy szczęśliwsi tam wysoko!
Połączeni z sobą sami,
Wyżsi nad świata niedole,
Za którémi moje oko
Ciągle się zalewa łzami,
Spojrzyjcie tu na nas w dole,
Tutaj wam przysięgam święcie,
To niezłomne przedsięwzięcie:
Iż chcę ojcem jego być,
Jego tylko szczęściem żyć;
Każdego nieszczęścia ciernie
Od niego odwracać wiernie;
I tak bez przerwy do grobu
W tęsknocie za wami obu,
Nie ustawać i na chwilę
Aż mnie za poświęceń tyle,
Połączone wasze cienia
Nie udzielą przebaczenia.

Kasper.

Amen! w ich imieniu Panie!
Przebaczono ci zostanie!

Koniec.

Sułtanka Valida.

(Z francuzkiego).

Dziś zna każdy przepowiednię zrobioną cesarzowéj Józefinie za młodu względem jéj przyszłości; ale mało kto wié o tém, że oprócz Józefiny wyszła jeszcze druga istota z odległéj wyspy Martinique z przeznaczeniem do tronu, któréj tak cudowną przyszłość przepowiedziano, jakiéj nawet spodziewać się niemogła. Inna młoda dziewica kreolska, nadobna jak Józefina, doczekała się także ziszczenia wróżby, którą jéj świetne szczęście i najwyższe dostojeństwa zapowiedziano. Oto krótka powieść utrzymująca się w ustném podaniu na wyspie Martinique:

Pewnego dnia przypatrywało się młode dziéwczę, prawie dniécię jeszcze, nad brzegiem morza z głębokiém podziwieniem wspaniałemu widokowi słońca wynurzającego się z fal morskich. Dziéwczę to tak było zatopione w tym widoku, że niespostrzegło nawet zbliżania się jakiejś tajemniczéj istoty, i ocknęło się dopiéro na przyjaźne pozdrowienie staréj, czarnéj niewiasty, Eufemii, o któréj mówiono, że

się trudni czarodziejską sztuką wróżbiarstwa. Piękność zamyślonego dziécięcia, które wschodzące słońce oblewało czarownym swoim blaskiem, zachwyciło starą murzynkę.

Przez chwilę przypatrywała się z szczególną uwagą i przenikliwością białéj, czystéj i roztropnéj twarzy młodéj dziéwczyny, a potem podniosłszy poważny wzrok ku gwiazdom gasnącym śród blasku wschodzącego króla światła, ozwała się do zamyślonego dziécięcia.

— „Patrzysz tam na dół;“ — rzekła wskazując słońce zawieszone na krawędzi widokręgu — „dobrze robisz.“ I wziąwszy jéj rękę śledziła wzrokiem delikatne jéj znaki — „Dobrze robisz, bo tam na dole spełni się twoje przeznaczenie, równie świetne, jak te promienie ognia wychodzące z morza; tak, te promienie będą podobne do owych, co kiedyś otoczą skroń twoją. Ale mimo to“ — dodała prorokini tajemniczym głosem — „jakkolwiek świetny i wzniosły będzie twój los, będziesz przecież niewolnicą.... Tak! niewolnicą i zarazem władczynią.“

Po tych słowach spojźrzała jeszcze raz w niebo i na tę, co słuchała jéj wróżby nierozumiejąc jéj wcale, i odeszła.

Na drugi dzień odpłynęła owa młoda dziewczyna, do któréj wymierzone były te tajemnicze słowa, panna Aimée Duboc de Rivery, należąca do jednéj z najdawniejszych i najznakomitszych rodzin wyspy, do Francyi dla ukończenia edukacyi, w klasztorze Wizytek w Nantes. Panna Aimée Dubock, urodzona w roku 1766, miała wówczas lat dwanaście.

W ośmnastym roku, zapomniawszy już bez wątpienia o spotkaniu z starą murzynką Eufemią, opuściła klasztor Wizytek i wsiadła na okręt, aby powrócić do swéj ojczyzny i do rodziców. Słowa słyszane przed sześciu laty zdawały się niemieć żadnego znaczenia, i dziewica, gdyby była przypomniała je sobie w téj chwili, byłaby niezawodnie uśmiechała się z niedowierzaniem; a przecież — czy to był przypadek, czy przeczucie, czy też tajemnicza wiadomość — ta co je wyrzekła, czytała nieomylném okiem w przyszłości. Okręt, którym płynęła panna Aimée Duboc de Rivery, poszkodzony w drodze byłby niezawodnie utonął, gdyby nie przepływający przypadkiem do Mallorki okręt hiszpański, który jego załogę i pasażerów zabrał na swój pokład. Ale w téj saméj chwili, gdy okręt hiszpański stanął na miejscu swego przeznaczenia, napadli go korsarze algierscy i zabrali z sobą.

Tym sposobem dostała się panna Aimée Duboc de Rivery w towarzystwie staréj guwernantki do Algieru. Dey algierski, zachwycony jéj pięknością, posłał ją podług barbarzyńskiego zwyczaju swego narodu w podarunku Wielkiemu Sułtanowi, swemu władcy, dla okazania mu swéj uniżoności. Selim III., w kilka lat potem Cesarz turecki, nie był nieczułym na wdzięki młodéj branki z Martinique. Młoda Kreolka, ulegająca bez wątpienia z bolem serca swemu osobliwszemu przeznaczeniu, została faworytą Sułtana, a zatém, jak jéj przepowiedziano, władczynią, ale podlegającą przytem niewolniczo surowym przepisom Haremu. Gdy w roku 1808 jéj syn, urodzony w roku 1785 objął rządy państwa tureckiego pod imieniem Mahmuda II., została Sułtanką Validą. Krew jéj, płynąca po części w żyłach Mahmuda II., wpływała na kierunek jego idei, dążących do ciągłych reform w narodzie, którémi wsławiły się jego rządy w dziejach islamizmu.

Bez wątpienia zawdzięczał także Sebastiani tajemnym wpływom Sułtanki Validy swoją przewagę w dywanie, która mu dopomogła do odniesienia zwycięztwa nad angielskiemi intrygami i bronią.

Tak więc przez szczególną igraszkę szczęścia, a raczéj z niedocieczonéj woli Opatrzności urodziły się na jednéj lichéj wysepce amerykańskiéj w kilka lat po sobie dwie kobiéty z przeznaczeniem, zostać w czasie władczyniami dwóch wielkich państw, leżących na przeciwnych krańcach Europy.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*